



DOTYK *lagodzi ból*

Podchodzą do niej nieufne, pokaleczone konie, łaszą się agresywne psy.

Czują wibrującą energię czy raczej wyczuwają dobrego człowieka? Nieważne.

Ewa Wolska, bioenergoterapeutka, pomaga nie tylko ludziom, ale i zwierzętom.



Od kiedy pamięta, zwierzęta są obok niej. To one, a nie ludzie zwrócią jej uwagę, że być może ma talent bioenergoterapeutyczny. Przez całą podstawówkę ciągną do niej koty ze zwieńczeniem łapą, chore psy, gołębie ze złamany skrzydłem. I wreszcie zdarenie w egzotarium. Poszła tam z klasą na wycieczkę.

– Zafascynowały mnie olbrzymie akwaria, a jeszcze bardziej fakt, że gdzie stanęłam, tam podpływały wszystkie rybki – opowiada. – Najpierw myślałam, że to przywidzenie. Po kilku próbach byłam pewna, że rybki rzeczywiście płyną tam, gdzie ja stoję. Oniemiłam...

Pierwszy mąż – weterynarz. Mieszkanie w lecznicy weterynaryjnej. Obecność zwierząt 24 godziny na dobę.

Jest druga w nocy, krowa się cieli. Ewa nie ma wyjścia, pakuje się z mężem do auta i asystuje mu przy kowim porodzie. Cielak jest duży. Trzeba krzepy, żeby go wyciągnąć. Albo inny przypadek: samochód potrącił wilczurę. Kwalifikuje się do szycia. Wstawiony właściciel płacze, psa trzeba trzymać za łapy. Robi to Ewa, pies łagodnieje. Mąż to dostrzega, ale nic nie mówi.

Ich drogi się rozchodzą. Ewa do dziś uznaje go za świetnego fachowca od dużych zwierząt. Jak ktoś w okolicy chorował, ludzie chcieli tylko jej męża, nie innego doktora. Wyrobił sobie markę.

Dopiero po rozwodzie Ewa postanawia, że będzie żyć z bioenergoterapią. Zawód wreszcie wychodzi z katakumb – jest wpisany do dziennika ustaw i kodeksu cywilnego.

Ewa zaczyna szkolić się jak szalona. Dyplomy, dyplomy, dyplomy. Cech Rzemiosł Różnych (Izby Rzemieślniczej), trzyletnia praca w Centrum Medycyny Naturalnej i egzamin na czeladnika. Po kolejnych trzech – na mistrza. Potem kurs pedagogiczny, bo Ewa uczy dorosłych swojego fachu. W Katowicach kończy także kurs prowadzony przez lekarzy. Nieobowiązkowy. Ale chce być naprawdę dobra w tym, co robi. Interesuje się ziołolecznictwem, akupresurą, akupunkturą, hipnozą, litoterapią. Zdobywa tytuł mistrzyni reiki.

W Kieleckim Studium Radiestezji i Bioenergoterapii poddaje się badaniu predyspozycji radiestezjno-bioenergoterapeutycznych. Zdolności – silne, ocena końcowa – bardzo dobra.

Praca w gabinecie, wizyty domowe, szpitale, Oddziały Intensywnej Opieki Medycznej – OIOM-y. Czasem potworny stres. Ale nigdy nie odmawia pomocy – ani człowiekowi, ani zwierzęciu.

Uczę mnie pokory

W marcu 2008 roku w „Nieznanym Świecie” ukazuje się artykuł o Ewie, w nim informacja, że pomaga również zwierzętom. Redaktor naczelny mówi jej o Przystani Ocalenie pod Pszczyną. Od tamtej pory raz w miesiącu jeździ charytatywnie pracować ze zwierzętami przygarniętymi przez Dominika Nawę i Dorotę Szczepanek, którzy prowadzą przytułisko. Jest tam ponad sto koni, są owce, kozy, kóły, a nawet tchórzofretka. Nieuflne, agresywne. Kalekie, po wypadkach, z przetrąconymi kregosłupami i nogami, ślepe.

Koza może więc przy byle nieostrożności Ewę uszczypnąć, koń kopnąć, pies pogryźć. Inaczej by się zachowywały, gdyby były otoczone miłością.

A tak – boją się. Pamięć mają w głowie: obwąchują Ewę, ilekroć do nich podchodzi. Kiedy poznają, że to ona, rządzą, skaczą, beczą – cieszą się. Trzeba sporej odwagi, by samej stanąć na wielkiej lące, po której biega 40 zranionych psychicznie koni.

– Nie mogę wykonywać gwałtownych ruchów, bo to wzbuďliby agresję. Mam dla nich zrozumienie i cierpliwość. Uczę mnie pokory. Czasami same podchodzą, ustawiają się bokiem. Przykładam ręce. Stoją tak trzy minuty, dziesięć. Wyciszają się, uspokajają i odchodzą. Potem hywają senne, lubią się położyć. Ale są w lepszym stanie psychicznym – łagodniejsi. Niektóre mają wzmożony apetyt czy pragnienie. Wszystko jest bardzo indywidualne. Efekty można obserwować do dwóch, trzech dni po terapii.

Dominik jednak na temat tych efektów wypowiada się ostrożnie. Sceptyk.



– Zawsze wydawało mi się, że to jakieś czary mary. Sam bioenergoterapii nie poddałem się nigdy, ale widzę, że to działa na zwierzęta. A po wizycie Kirsten Helming, Dunki znanej z tego, że telepatycznie rozmawia ze zwierzętami, jestem w stanie uwierzyć, że coś w tym jest. Otóż mamy konia, którzy przez trzy lata nie wychodziły na pastwisko, był złośliwy. Coś sobie z Kirsten pogadali i z dnia na dzień koń się zmienił. Oniemiąłem. Kirsten w pół godziny zdziałała więcej niż ja przez trzy lata! A co do Ewy – rzeczywiście, w trakcie zabiegów obserwuję, jak konie podnoszą uszy, są zaciekawione, nawet gdy Ewa ich nie dotyka. Albo przytulają się do uniesionych dłoni, czego nigdy nie robią. Jednak ponieważ widzę zwierzęta ciągle, trudno mi dostrzec zmiany. Nawet jak przywozimy do Przystani konie wychudzone, polem tylko po fotografach jestem w stanie stwierdzić, że przytły – tłumaczy.

Dominik jest z Ewą w stałym kontakcie mniej więcej od roku. Podobnie jak z innymi bioenergoterapeutami, którzy wspólnie na odległość leczą zwierzęta. Ewa jedyna przyjeżdża na miejsce. Spędza ze zwierzętami więcej niż pół dnia. Niektóre podchodzą do niej po kilka razy. Twierdzi, że czuje



Ewa charytatywnie pracuje ze zwierzętami w przytułku. Jest tam ponad sto koni, owce, kozy, koty, a nawet tchórzofretka. Wszystkie nieufne, agresywne. Kalekie, po wypadkach, ślepe.



Trzeba sporej odwagi, by stać się samą na wielkiej łacie, po której biega czterdzięci zranionych psychicznie koni. Ewają ma.



przepływy energii. Zimą, kiedy stoją w boksach, ma dostęp tylko do szyi i głowy. Dotyk jednak powoduje, że energia krąży: płynie tam, gdzie jest najbardziej potrzebna. Ale też wspiera cały organizm, harmonizuje ciało, układ nerwowy, hormonalny, wycisza.

Jedyna taka Przystań

– Chore miejsce, czy to u człowieka, czy u zwierzęcia, często jest zimne. Moim zadaniem jest wyrównanie potencjału energetycznego – mówi Ewa i sięga po zdjęcie. Najwięcej z Przystani Ocalenie. Widać na nich, jak pracuje ze zwierzętami. Na jednym tuli dwa szczeniaczki – pacjentów z Zakopanego. – Miał torse, nosiłam je na rękach. Niektórzy koleżdy po fachu śmieją się z niej, że jeździ pod Pszczynę. – Ty nie masz chyba co robić – mówią.

Może nie mają potrzeby, pasji ani odwagi, by pracować z dużymi zwierzętami? Może uważają, że czas warto poświęcać tylko ludziom?

– Ale ja jeżdżę do Przystani w soboty i niedziele, to mój prywatny czas. Nie odciągają mnie od codziennej pracy – tłumaczy Ewa.

Zresztą zdarza się, że nawet kiedy przyjmuje w gabinecie, ktoś przywozi chore zwierzę, czasami w fatalnym stanie: niestające na łapach, bezwładne, z założonymi szwami po operacji. Zawsze wtedy wychodzi, by je przyjąć. Jeśli widzi, że to agonia, lagodzi cierpienie fizyczne i psychiczne. Jak u ludzi na OIM-ach, którzy już pogodzili się z chorobą i odchodzeniem.

Skąd Ewa wie, że pomaga zwierzęciu? Poznaje to po laszeniu się, tuleniu, przyleganiu do nogi. Wtedy czuje satysfakcję i radość, że ma ze zwierzęciem kontakt. Przekazuje mu miłość, ciepło, wszystko, co najlepsze. Czasami włącza modlitwę, bo jest głęboko wierząca.

Pracuje także na odległość. Kiedyś w nocy rozpetała się burza. Dominik był sam w Przystani, zwierzęta oszalały od piorunów. Zadzwonił do Ewy, żeby zaopiekowała się nimi mentalnie, na odległość. Zrobiła to. Ale następnego dnia przyjechała, bo nie ma to jak kontakt osobisty, wyważone dotknięcie.

– Przez całe moje życie zwierzęta przekonują mnie, że jestem na właściwej drodze. Zachowuję się instynktownie, w przeciwieństwie do ludzi niczego nie grają, są bezinteresowne i spontaniczne w swoich reakcjach.

Niewyczerpana energia

Ewa miała trzy lata, gdy rodzice się rozwiedli. Głód ojca odczuwał będzie przez całe życie. Jako nastolatka w kościele Mariackim w Krakowie przysiędziała sobie, że urodzi dziecko tylko wtedy, kiedy spotka idealnego kandydata na ojca. A że idealów nie ma, jest bezdzietna. Całkowicie poświęca się pomaganiu. To jej pasja i miłość.

Ojciec, dziadek, pradziadek mieli talenty uzdrowicielskie. To branża zdolowana przez mężczyzn. Kiedy więc miała Ewa zauważyla, że wokół niej dzieje się coś dziwnego, nikomu o tym nie mówi, zwłaszcza mamie. Na przykład na podwórku zawsze działa jak rafowy rozjemca. W piaskownicy łagodzi waśnie o babki i bójki o łopatki.

Albo płaczące dzieci. Kiedy tylko Ewa zaczyna się z nimi bawić albo bierze na kolana, natychmiast się uspokajają. To musiało dawać do myślenia.

I dało... szkolnej bibliotekarce. To ona pierwsza zwróciła uwagę, że dziewczynkę pociągają sprawy niezwykłe. Podsuwała książki o tajemniczych i niezbadanych zjawiskach. O Trójkącie Bermudzkim czy zaginionej Atlantydzie Ewa czytała w trzeciej klasie podstawówki.

W szkole średniej koleżanka chciała popełnić samobójstwo, polknęła jakieś tabletki. Płukanie żołądka, ból, cierpieńie. Ewa biega do szpitala. Po pierwszej jej wizycie koleżanka czuje się znacznie lepiej. Po każdej następnej – kolejna poprawa.

– Wtedy już wiedziałam na pewno, że pójdę drogą medycyny naturalnej. Ale jak ma się 19, 20 lat, to mimo wykluwalnego talentu do bioenergoterapii nie jest się gotowym ani psychicznie, ani emocjonalnie, żeby w ten sposób pomagać.

Bliscy podchodziły do jej pomysłu sceptycznie. Choć musi przyznać, że mama nigdy nie przeszkadzała w zdobywaniu kierunkowej wiedzy. Mawiała: twoje życie, twój wybór, Twoja decyzja. Nie ingerowała.

– Na dobre zaczęłam się uczyć fachu w latach 90. Szukałam książek i przedruków tłumaczonych na język polski. Nie było łatwo – opowiada.

Nie było łatwo nie tylko w karierze zawodowej. W życiu osobistym również. Przez 18 lat żyła w wolnym związku. Kiedy kilka lat temu odszedł tragicznie jej partner, została już tylko praca. Ewa nie ma nawet zwierzaków. Przy jej trybie życia pies czy kot byłyby ciągle same.

Kiedyś poskarzyła się swojemu mistrzowi, że życie ją tak doświadcza, a ten odparł: „Inaczej jak byś mogła pomagać innym? Nie wiedziałabyś, jak się to wziąć”.

Pomaga więc.

– Energia nigdy się nie wyczerpuje – mówi Ewa. – Im więcej dajesz, tym więcej dostajesz. I od człowieka, i od zwierzęcia.

© BEATA IGIELSKA

© ANDRZEJ MISTOL

